ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. niedziela, 4 marca 1934 r. Nr. 10

Adolf Nowaczyński

Kinoterapja

On revient toujours a ses premiers amours.

To też w związku z filmem „Katarzyna Wielka" musimy znów nieco przypomnieć sobie ...margrabinę Wielopolską. Sprawa mianowicie jest taka. W Polsce kinoteatrów jest 775, a kinomanów 7 miljonów 775 tysięcy. A więc to potęga. Niejako dziesiąte mocarstwo. W samej stolicy kintopów jest pono przeszło 50. A więc też potęga. W czyich rękach przeważnie cała gospodarka, jak i cała domowa produkcja się znalazła, to dokładnie wiadomo. Nie tak dawny proces dr. Zagrodzińskiego z potężną firmą Alben - Studio wyświetlił dużo tajemnic zakamarkowych. Okazało się, że głównym potentatem w tej branży, któremu publiczność zawdzięcza takie cenne dzieła (p i c t u r e s) jak: „Dzikie Pola", „Rok 1914", „Puszcza", „Pałac na kółkach" (przez całą krytykę u n i s o n o zerżnięte) nie jest nawet p. Halpern, ale wprost gentleman Josek Świeca, dosłowny właściciel całego Studjo, całego pałacu na kółkach, Josek Świeca, polski Goldwyn czy Fox.

Dopiero po p. Świcy idą tacy potentaci filmowej produkcji, jak pp.: Menasche Katz, Finkelstejn i Fenigstein i t. p. Coprawda podobna sytuacja musi być także w Paryżu, skoro znalazło to wyraz aż w dwóch powieściach, skierowanych przeciw tej hegemonji Świeców w branży produkcyjnej nadsekwańskiej, to jest w „Adamsie" Rene Claira, gdzie tamtejszy Świeca figuruje jako Aronsohn, oraz w nowej powieści Pawła Moranda, skierowanej wprost przeciw przepotężnej firmie Nathan - Freres. Zresztą i w Berlinie dzisiejszym, w hitlerowskim Berlinie, już po wszystkich czystkach i ekmisjach nadal podobno dużą rolę szefowską wśród nazistowskich p r o d u c e e r s gra niejaki p. „Gustaw Carol" ze Lwowa, półoficjalny reprezentant zaryzowanej niby Ufy.

Dzięki tej hegemonji coprawda i w naszych kinach stołecznych jest duży ruch, odmiana, różnorodność, życie, dobór interesujących obrazów, poziom europejski i t. p., ale jednak od czasu do czasu zachodzą jakieś takie zagmatwania czy przypadki, przeciw którym nie sposób delikatnie nie podnieść głosu i nie zaprotestować.

Par e x e m p l e to przeciągające się już do niemożliwości a d i n f i n i t u m niedopuszczenie na polskie ekrany nowego filmu z... Kiepurą. Jest to już publiczną tajemnicą poliszynelską, że dyrekcyjna elita kinoteatrów stołecznych niema odwagi puścić w Warszawie nowego Kiepury. Przestraszyli się i ulegli terorystycznej sugestji. Nowy film nosi tytuł „fascynujący" — „Zdobyć cię muszę" (Barkarola). W całym szeregu kintopów prowincjonalnych film ten szedł, ale w Warszawie się „boją". Boją się dlatego, że film (reżyserji Joe Maya) jest produktem Ufy. Otóż wobec tego, że jest m a d e i n G e r m a n y a Germany nie jest modern w kapitalistycznej większości stolicy, film z Kiepurą nie śmie się pojawić. Prasa miarodajna zapowiedziała bojkot bez pardonu i bez litości. Przerażeni właściciele naszych umiłowanych „oaz snów na jawie" w obawie manifestacyj i demonstracyj, skierowanych przeciw Ufie nie puszczają „Barkaroli". Nawet nazwisko „ukochanego faworyta" Kiepury nie zdołało wpłynąć na prasę miarodajną. Bojkot i basta!

Ładne to nie jest i nie europejskie. Przecież myśmy przez tyle lat entuzjazmowali się i Chaplinem i Al Johnsonem i różnymi małymi bachorkami genjalnymi i chodzili spokojnie na „Sabrę" i na Dawida Goldera (Niemirowskiej), a teraz zaśmiewamy się na drugim już filmie Eddie Cantora. Ani przez myśl nikomu nie przyjdzie bojkotować filmów reżyserowanych nie już przez Eisensteina czy Szudmaka (aus Krakau), ale nawet pp. Leitesa czy Szarotkę. Więc czy nie wypadałoby poprostu odwołać ten bojkot Kiepury w stolicy jego rodaków? Czy ma sens taka Shylokowska zemsta na śpiewaku za to tylko, że ośmielił się dać zaangażować przez wytwórnię w stolicy państwa, z którem zaczęły się zgodne sąsiedzkie stosunki?

Zresztą przecież i ostatnio znów daliśmy dowód jaknajdalej posuniętej kurtuazji i europejskości w tej dziedzinie.

Mamy tu na myśli film z „Katarzyną Wielką". W Berlinie przedhitlerowskim była sobie taka aktoreczka - żydóweczka o „figurce ekspresjonistycznej garsonki" (Bubikopf) w gatunku naszych t. zw. „fantazyj" zza Żelaznej Bramy, których chmary zalewają w piątek wieczór Plac Teatralny. Dzięki ordynarnie natrętnej reklamie w ówczesnej prasie wkrótce została „znakomitością", tak jak w Paryżu „Marie Dubas". Hajfeckę tę usunięto zeszłego roku z Berlina wraz z całą napływową wielkomiejską szumowiną. I wtedy postanowiono pokazać Berlinowi i Hitlerowi co to za genjusz aktorski barbarzyńcy skazali na banicję (do Londynu). Z pomocą londyńskich Haifeców zaaranżowano przeraźliwie napastniczą reklamę. Z Elisabeth Bergner zrobiono kobiecego Einsteina, „genjusz" i „męczennicę". W jakimś podrzędnym teatrzyku w East Side dano jej jakąś rolę do popisu, no a potem film. Do pisania libretta zasiadło dwóch „Węgrów": Biro i Lengyel. Temat Wielka Katarzyna II jako „Fickhen", jako księżniczka Anhalt Zerbst, w sympatycznym, ciepłym sosie. Olbrzymi fundusz zebrał w galopie „Bnai-Brith (?) i maszyna ruszyła pod kierunkiem reżysera Kordy.. Przed puszczeniem obrazu w jesieni znów wszechświatowy harmider reklamy i Bergner jako nowa Sara Bernard czy Rachel.

W rezultacie całej Kohn - Spira-cji wypadł wulgarny knot dla hołoty z mizdrzącą się, trzepocącą się w kostjumach sziksą. Aczkolwiek obligatoryjnie i musowo wszystkie współwyznawce powinny były uderzyć w największe gongi, to jednakże carsko - historyczny gulasz historyczny okazał się tak tandetny, że wyłamano się z wspólnego frontu nawet u nas! Nawet najbardziej zainteresowane recenzentki..., nie mówiąc już o recenzentach.

W swoim tygodniku pisała p. Paula Appenszlak:

„Naturalnie, że cała „Rosja made in U. S. A." okazała się w stylu równie tanim, jak niezgodnym z rzeczywistością. Poza kilkoma banalnemi akcesorjami, jak dzwony, kopuły cerkwi, śnieg i freski na ścianach w stylu bizantyjskim dwór Katarzyny mógłby śmiało uchodzić za jakikolwiek dwór europejski z tego czy innego okresu. Douglas Fairbanks junior ze swą anglo-saską, wytworną powierzchownością, wytwornym strojem dworaka francuskiego ani trochę nie przypomina koszmarnego sadysty, Piotra III — nawpół obłąkanego władcy Rosji. Tragiczne momenty jego życia nie trafiły do przekonania eleganckiemu artyście z Hollywoodu. Po Henryku VIII spodziewaliśmy się Katarzyny mniej obliczonej na tani gust amerykańskiej publiczności, a sięgającej bardziej aspiracjami ku filmowi artystycznemu".

W „Wiadomościach" pani Zahorska:

„Elisabeth Bergner posłużyła się Katarzyną Wielką, aby poprzez nią ukazać siebie. Powstała w ten sposób Katarzyna Bergner łudząco przypomina Arjanę, tę sprzed czterech lat, która wsiadała do pociągu pośpiesznego w Berlinie na Anhalter Banhof. Te same gesty i te same chwyty. Katarzyna flirtuje z Pawłem jakby siedzieli w separatce w nowoczesnej restauracji, rokokowa krynolina jest maskaradowym rekwizytem na tej figurce ekspresjonistycznej garçonki".

Potem równie ostro o całym bankiersko - protzerskim, „wystawowym" kiczu.

Tak zatem panie Zahorska i Appenszlak, po których i od których raczej należało się spodziewać afektowanego entuzjazmu dla „nieszczęsnej ofiary" berlińskiego Hamana.

Natomiast najniespodziewaniej w tamtam szamańskiego szału superlatywów uderzy madame Wielopolska z antirzymskiego i Rzymowskiego Poranniaka. Knotowi amerykańskiemu poświęcono olbrzymi feljetonowy tasiemiec pod bombowym tytułem „Na rozdrożu dwutorowej prawdy historycznej" (sic!) (z obrazkami). W ekstazie zaś takie bajce i hołupce:

Zatriumfowała też Bergner blaskiem najorginalniejszego ze wszystkich talentów aktorskich na kontynencie... Elżbieta Bergner - partnerka wspaniała, odpowiadała chwytem artystycznym na chwyt... Reżyserja dokonała cudów, aby te perły artystycznej gry oprawić w ramy najbardziej stylowe. Najwyższy kunszt artystyczny polega tu na uchylaniu rąbka zasłony, kryjącej okrutną fatalność, przy nienaruszaniu biegu obranej akcji, czysto psychologicznej... A jak dalece subtelnym jest umiar tej reżyserji — dowód, że ani na chwilę nas, Polaków, wzdragających sie odruchowo na te carskie postacie i dzieje, nie razi film".

Otóż „n a s P o l a k ó w" film ten razi jako ordynarna macherka gromady wywłoków, dysponujących kopami funtów i dolarów, ale nie dysponujących ani wiedzą o carskiej Rosji XVIII w., ani gustem, ani taktem, ani umiarem, ani talentami.

Jeszcze zaś bardziej n a s P o l a k ó w, razi piękne, historyczne nazwisko, przypadkowo pętające się w takich procederach „krytycznych", jak ten tutaj zdemaskowany. Jakie tam pobudki wchodziły w grę przy zamieszczaniu takiego panegiryku poryku tej pani, w to oczywiście nie wchodzimy. Jeżeli atoli w organie z Marszałkowskiej takie się drukuje reklamy dla garsonki Bergner, no to mamy prawo żądać znów od miarodajnej mniejszości, aby z równą rewerencją traktowała naszego", niedopuszczanego do Warszawy Kiepurę. Może „margrabina z Poranniaka" i dla Kiepury zdobędzie się na stylistyczne erupcje i orgiazmy.

Kinomany proszą o Kiepurę! My chcemy Kiepury! Wypuścić Kiepurę! Heil Kiepura!

L. Całkosińska

Burza na Parnasie

Cichutkie siostry Brontë: Emilie i Charlotte, obudziły się z długiego snu, strząsnęły stuletni pył z szarych sukienek i niepostrzeżenie zasiadły na francuskim Parnasie. I wówczas, niby na znak reżysera, zaczęły się ukazywać zapomniane oblicza książek, które przed wiekiem czarowały serca poezją, zuchwałością i zmysłowym sentymentalizmem. Mieszkańcy Parnasu ocknęli się zdumieni. Niedość, że z zapomnianych bibljotek wyjrzały pożółkłe romanse G. Sand, Stendhala, niedość, że G. Eliot i Brontë doczekały się nowych tłumaczeń. Elementy romantyczne odezwały się echem staroświeckiej melodji w twórczości najmłodszych. Czyżby romantyzm miał jakiekolwiek szanse powrotu? Jeszcze niepewni w djagnozie krytycy pochylają się nad współczesną literaturą, szukając symptomów sercowej choroby... Jeszcze przestrzegają Blocha, Malraux i Mauriac'a... przed manowcami fantazji. Jeszcze dopatrują się w twórczości Jouhandau, Chateaubriand'a i Fournier'a błędu młodości, a już młodziutki Robert Francis staje przed areopagiem, zadając swą pierwszą powieścią: „La Grange aux Trois Belles", śmiertelny cios trzeźwości, przejrzystości i zwięzłości, którą zwykła się szczycić literatura francuska.

Mówiąc o R. Francis, nie sposób jest pominąć Aloin Fournier'a tak ze względu na podobieństwo tematów i widoczny wpływ Fournier'a jak i na ogólną atmosferę dziecinnych rojeń, właściwą obu pisarzom. Dziwne bo są ich książki. Tak mi się wydaje, jakgdybym, zabłądziwszy w tajemniczym labiryncie zagadek, znalazła owoc przedziwnego kształtu i smaku. Właśnie tak! Obie te powieści mają zdumiewający smak nieznanego owocu, jakiby można było znaleźć wiosennym świtem w porannej mgle, kiedy wszystko jeszcze kąpie się w obfitej rosie i nie wiadomo, co za chwilę nastąpi: burza czy pogoda. Obie są nieco cierpkie i gorzkawe. Obie mają nieoczekiwany, fantastyczny smak. Ale już nasłonecznione. Już pełne soków, zdradzają czem mogłyby być, gdyby pozwolono im dojrzeć. I co najdziwniejsze, to to, że żżymając się, odsuwając niekiedy z odrazą wbrew woli, pochłaniamy je do końca. Podobnie, jak się to ma z grape - fruitem...

W związku z tem, skok w krainę fantazji, jakiego domagają się od nas Fournier i Francis, — oszałamia. Nic więc dziwnego, że wywołali wśród krytyków burzę, zwłaszcza Francis, na którego spadło powszechne odium. Jedni usiłują osłabić jego znaczenie, wykazując wpływ Fournier'a i Dickens'a oraz identyczność pomysłów. Drudzy zastanawiają się nad stopniem mentalności, zarzucając niezgodną z logiką i duchem Francji fantazję. „Chętnie wierzę — pisze jeden z nich — w sześciokonną karocę zamkniętą w łupinie orzecha, ale gdy w nowoczesnym salonie przy avenue Malakoff, częstują mnie cygarem które po zapaleniu zmienia się w wieżę Eiffel, ça me dégoûte". R. Francis nie przejmuje się temi zarzutami. Prawda!... istnieje pewne podobieństwo pomiędzy Fournier'a „Le Grande Meaulnes" i „La Grange aux Trois Belles"*), ale wypracowanie, pisane na jeden i ten sam temat, nie wyklucza indywidualności, przeciwnie, podkreśla ją. Jego „zadanie", poza wytycznemi nie ma nic wspólnego z „Le Grand Meaulnes". Bo pomiędzy drogowskazami, jakiemi są identyczne fakty, ścieżki i drogi, któremi do nich dochodzi, są zgoła odmienne.

Bezsprzecznie, pierwowzorem „La Grange aux Trois Belles", jest powieść Fournier'a. Historję Meaulnes'a opowiada syn nauczyciela Seurel. Siedemnastoletni Meaulnes, zabłądziwszy w lesie wchodzi do nieznanego zamku, przygotowanego na przyjęcie młodej pary: Franca i Valentine. Podczas trzydniowych uroczystości Meaulnes zyskuje wzajemność siostry Franca, Yvonne. Ale ucieczka Valentine, zamach samobójczy pana młodego przerywa ucztę weselną. Goście rozpraszają się, zabierając Meaulnes'a. Napróżno stara się odnaleźć drogę do tajemniczego zamku. Nie pomoże mu w tem nawet Franc, który w towarzystwie komedjantów błąka się nieprzytomny z bólu, — po okolicy. Chłopcy zawierają przyjaźń. Powoli obraz Yvonne zaciera się w pamięci Meaulnes'a. Zaręczony z Valentine odkrywa, iż jest to była narzeczona Franca i zrywa z nią. Dopiero Seurel odnajduje Yvonne i doprowadza do małżeństwa pomiędzy młodymi. Jednak wyrzuty sumienia, i wezwanie Franca wyrywa młodego człowieka z ramion żony. Odjeżdża, by wrócić po roku z pogodzoną parą Francem i Valentine. Zapóźno. La Belle au bois dormant czekała zbyt długo. Umarła.

Tę fantastyczną przygodę opowiada Fournier jaknajpoważniej, utrzymując nas w stałej niepewności, co do swych intencyj. I kiedy wreszcie, podając się rytmowi bajek dziecinnych — godzimy się wejść raz jeszcze do królestwa Merlina, — Fournier uśmiecha się, tłumacząc, że niesamowitość wydarzeń jest dziełem wyobraźni chłopca. To siedemnaście lat Meaulnes'a okryło świat fantastyczną opończą. Cóż bowiem prostszego nad miłość, — zdradę i śmierć? Godzimy się na to z rozczarowaniem i dopiero po pewnym czasie przychodzi refleksja. A może „Meaulnes" ma jakiś ukryty sens? Kto wie, czy autor nie chciał wykazać, że młodzieńcze ideały nie podsycane wiernością, nie karmione wyobraźnią muszą umrzeć nawet, gdy do nich wrócimy (tak, lecz pozbawieni złudzeń młodości...). Nie wiem,— może mi się to tylko wydaje.

„La Grange aux Trois Belles" przypomina koncepcją „Meaulnes'a". I tu jest tajemniczy zamek, dręczący wyobraźnię trzech dziewczynek, z których, Catie-narratorka jest odpowiednikiem Seurel'a, a najmłodsza Angèle, personifikuje w swej osobie Valentine i Yvonne. I tu syn marnotrawny, Christjan, błąka się w przebraniu (Jakże Francis lubi to deguisement i jak go nadużywa!) konstruktora mechanicznych lalek. Tu również odbywa się dziecinne wesele Angeli z Christjanem, po którem następuje scena z „Meaulnes'a": Angèle pokazująca mężowi swe zabawki. I tak samo tu, miłość Angèli nie zdoła powstrzymać Christjana od odejścia. Dręczony wyrzutami sumienia odejdzie niepostrzeżenie. I jeśli Francis pozwala żyć małej Angèli, to chyba dlatego, że „La Grange aux Trois Belles" jest pierwszą z pięciu zapowiedzianych części.

A zatem naśladownictwo?! I tu okazuje się, że nie. Identyczne fakty, zacierają się i gubią wobec ogromu fantazji oraz innych elementów. Czegoż tu nie znajdujemy, począwszy od brutalnego naturalizmu, poprzez humoreskę i dramat, aż do najczystszej poezji! A wszystkie wydarzenia, zabarwione groteskową fantazją, mają w sobie coś z dziecinnych rojeń. I w tem tkwi właśnie tajemnica Francis'a. Jego p r a w d a jest p r a w d ą sześcio, dziesięcioletniego dziecka, które nie rozumuje, lecz zaobserwowane fakty uzupełnia i retuszuje z pomocą wyobraźni.

Aie przychodzi dzień, w którym czarodziejskie bajki tracą urok, lalki umierają, a dziewczynki nie pragną nowych, czując głód serca i nowych wrażeń. Fantazja stula skrzydła i cichutko ustępuje miejsca potężniejszej miłości. Jest zima i śnieg, gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia. „Czternaście lat, Katarzyno i jakież życie jest nudne", wzdycha Angèle. „Co ci jest" — pyta siostra. „Nie jestem zmęczona a pozatem..." Pozatem?... „Nie, chłopiec nigdy nie przyjdzie. To wszystko jest bajką. Urosłam, Katarzyno, i wiesz? Nie chcę już marzyć..."

Od tej pory świat Catie nabiera realniejszych i cieplejszych barw. Dotychczasowe uczucie kołysania się na pograniczu jawy i snu, zanika. Fala opada i pod stopami wyczuwamy twardniejący grunt. Jeszcze mała Angèle zawaha się na progu rzeczywistości, jeszcze na chwilę zatrzyma ją Christjan w krainie baśni. Jeszcze raz będzie nam danem pochylić się nad czarodziejskim globusem Christjana, miniaturą kuli ziemskiej z deszczem, słońcem i nocą, z maleńkiemi istotami zamieszkującemi liiipucie miasta. Ale już przyjazna, ciepła atmosfera wypełnia książkę. Już rozrzucone kapryśną ręką elementy fantazji powracają na miejsce. Przychylność Dickensowska, „ludzie" i humor Dickensa wkraczają triumfalnie na scenę. I wątpię, by było to ze strony Francisa, nieświadomem naśladownictwem. Raczej jest to forma żartobliwego hołdu dla uwielbionego mistrza. Nieszkodliwi obłąkańcy snują się bezczynnie po domach w kółko. Tirelo nosząca z sobą wiecznie nieukończony traktat o wychowaniu panien, nabiera z czasem cech Bessie Trotwood*). Hidalgonde przerywa co chwila rozmowę okrzykiem „Diwine, kruki". budzącym wspomnienie pamiętnego: „Janet, osły" i wychowuje służące w nienawiści do mężczyzn, poto, by je następnie wydać zamąż, za piekarzy. Stary lokaj na początku i końcu zdania mówi „Atchum, atchum", a Fred zaciera ciągle wilgotne ręce. Skłonność do obdarzania ludzi szczególnymi cechami, właściwa Dickensowi zaznacza się wyraźnie u Francisa.

Nie dość tego. Francis transponuje sceny z „Copperfielda", lecz transponuje je w grotesce; tak, jak to zwykły czynić dzieci, będące pod wrażeniem powieści. Któż z nas nie zna p. Peggoty, marynarza i przyjaciela Copperfielda, kto nie pamięta śmierci Barkisa — umierającego zgodnie z tradycją wybrzeża, razem z odpływem morza? Francis parodjuje to każąc odtworzyć scenę małej Catie i zdymisjonowanemu kapitanowi. W trakcie zabawy, gdy Catie łamała ręce nad leżącym, kapitan powtarzał: „Muszę odpływać — morze opadło, od-cho-dzę z od-pły-wem". „Pewnego różowego zimnego popołudnia, w lutym właśnie, gdy kapitan mówił: „Odpływ się zbliża — odchodzę z nim". Tirelo otworzyła gwałtownie drzwi lepianki... I podczas, gdy przejęty rolą kapitan powtarzał, czekając mej odpowiedzi: „Morze opada"—Torelo wymierzyła mi policzek, zawoławszy wzburzonym ze złości głosem: „Szaleństwo rośnie!" i blada z oburzenia pochyliła się nad przerażonym kapitanem, wznoszącym ku niej łagodne, zdumione wejrzenie"... „La Grange aux trois Belles' łączy w sobie tyle pierwiastków, tyle się w niej krzyżuje myśli i prądów, że trudno dziś przepowiedzieć, jaką drogę obierze w dalszym ciągu Francis. On sam zapowiada, iż pozostanie wierny swej fantastycznej metodzie. Mnie się zdaje, że z dorastaniem Catie-narratorki dorośnie myśl i talent autora. I wcale się nie zdziwię, gdy pewnego dnia R. Francis, potępiony dziś przez krytykę, zasłynie, ze szkodą dla powieści psychologicznej, w romansie charakterystycznym i to jako godny następca Dickensa.

---

*) „Le Grand Meaulnes. Alain Fournier éd. Emile - Paul Freres, 1933". „La Grange aux Trois Belles. Robert Francis. A. Redier éd. 1933".

*) jedna z bohaterek Dawida Copperfielda Dickensa.

Adam Grzymała-Siedlecki

Garde-Ulanenregiment Nr. Eins

(Dokończenie)

Obuł prikaszczika-jeńca, odział, zaopatrzył go pod jesień w stary swój kożuch, wyręczać się nawet zaczął germańcem w interesach leśnych. Darzył go pełnem zaufaniem. Błogo, nawet radośnie było Hansowi u kupca Pietuchina w Czelabińsku syberyjskim. Przypiekało go tylko jedno:

Prawda prawdą, że w boju dopiero dał się wziąć do niewoli, ale bądźcobądź nim go wzięto poranionego, wiedział przedtem, zdawał sobie z tego sprawę, że jedzie oddać się nieprzyjacielowi. Od ranka ówczesnego, gdy ich tam, nad Bzurę wysłano po furaż, wiedział o tem dobrze — i jechał, nie może się przed sobą zaprzeć: jechał z tą myślą, z tem postanowieniem. Żrący war oblewał go, ilekroć wspomniał sobie ujechany po nieprzyjacielskiej stronie pół-kilometr za rzeką. Dużoby dał za to, by się znów znaleźć na froncie, w ogniu, odemścić się za swój wstyd. Załaziło to Hansowi pod żebra tak, że nawet Wiera Akakijewna nie może zabliźnić tego obolenia.

Wiera Akakijewna... Sama go napastowała. Sama do tego doprowadziła. — Gdy po szpitalach wojskowych i kilkotygodniowym transporcie ocucił się nareszcie w Czelabińsku, gdy wypoczął i pierwszy raz uzyskał pozwolenie wyjścia na miasto, nic go w swoistym charakterze syberyjskiego miasta nie zadziwiło tak, jak najzwyklejsza — zdawałoby się rzecz: — okoliczność, że i tu są — młode dziewczęta.

— Co jedna to ładniejsza — stwierdzał młodzieńczo: — nawet te brzydkie.

W fazie takich to wniosków krajoznawczych naszedł go ów niespodziewany atak miłosny Wiery. Był w stajni, obrządzał konia, gdy skradła się doń i zarzuciwszy mu ręce na szyję i przywarłszy jego usta ku swoim, onieprzytomniła go sobą.

— Co wy czynicie, Wiera Akakijewna! — wydusił z siebie przerażony.

— W domu niema nikogo — to jedno mu za odpowiedź rzuciła.

Godzinę już później jeniec-prikaszczik żałował, że w domu nikogo nie było wówczas, że nie przeszkodzono im. Niech się Hauswirt dowie, i zum Wiedersehen tłuste obfite jedzenie, zum Wiedersehen wódka i wędzone ryby na przekąskę. Wracaj spowrotem do Gefangenenlager na suchary i na twardą pryczę:

— Choroba z babami!

Unikał Wiery. Coprawda unikał zawsze poniewczasie. Nic go zresztą zbytnio do niej nie ciągnęło. Tyle chyba, że zażywna w sobie. Kupcówna natomiast oszalała i wcale się z tem przed kochankiem nie taiła. Nic dziwiło to Hansa:

— Przecież z Garde-Ulanenregiment i do tego nr. Eins!

Któregoś niedzielnego dnia byli oboje razem w lesie podmiejskim. Naznaczyła mu tam schadzkę, bo w domu było nieporęcznie. Niewiadomo po raz który kazała mu i tu opowiadać o jego życiu, o rodzicach, o domu rodzinnym, o wszystkiem. Zgadało się więc, że pochodzi z rodziny niezamożnej.

— A mojego ojca, Akakija Fomicza jakby zliczyć, toby się zebrało z ćwierć miljona ciełkowych.

Hans mniejwięcej na taką samą sumę szacował swego chlebodawcę, więc tylko przyświadczył:

— I ja tak myślę.

— Wszystkoby to mogło być twoje, gdybyś chciał.

— Jakim cudem?

— No bo ja jestem przecie jedynaczka u rodziców, u moich.

— No to co?

— Kabyś się ze mną ożenił, to wszystko to byłoby nasze, po ich śmierci, oddal ją Boże na jaknajpóźniej.

W pierwszej chwili Hans pomyślał, że dziewczyna drwi zeń. Spojrzał na nią. Patrzyła mu w oczy poważna, skupiona, wzruszona:

— Gdybyś poszedł do Akakija Fomicza, pokłonił mu się w pas, a powiedział, że się chcesz żenić ze mną, to Akakij Fomicz — —

— To Akakij Fomicz dałby mi w pysk.

— Możeby ci i dał w gębę, ale to tylko z uczucia zdziwienia.

— Mnie tam wszystko jedno z jakiego uczucia mnie kto pierze po gębie. Wiem tylko, że tego nie lubię.

Nie dał jednak po gębie Hansowi Pietuchin. Co więcej: sam przyszedł doń powiedzieć, że wie o jego zamiarach:

— No cóż? Pobłogosławię.

Przez kilka dni pareń chodził, jak zaczadzony: taki majątek!! Bo i kamienica zasobna w śródmieściu i duży szmat pola tu przy sklepie na przedmieściu, tłuste oszczędności w banku, no i ostatecznie Wiera. Czy mógł kiedy w życiu marzyć o takich fortunach?

Zaręczyny odbyły się sute i godne: pijanych odwożono z muzyką, żeby widzieli, że nie u hołoty byli na przyjęciu. Dwie doby to trwało, rozpoczęte nabożeństwem w cerkwi.

Przed pójściem do cerkwi Wiera podeszła do Hansa. W ręce miała owinięty w bibułkę jakiś niewielki przedmiot. Głos jej zadrżał:

— To ode mnie, wieńczynny dla ciebie gościniec.

Odwinął Hans z bibułki. Książeczka oprawna w czarną okładzinę, z krzyżykiem złotym na środku. Przewrócił okładkę, odczytał tytuł: „Brot der Engel". Książka do nabożeństwa.

Spojrzał zdumiony na Wierę.

— Germańska, ale katolicka — wyjaśniała: jako, żeś ty katolik, chocia germaniec.

— Skądżeś ty to?

— Wywiedziała ja się, że można napisać do takiego miasta, co się nazywa Sztokgołm, to chocia wojna jest, ale oni tam, z tego Sztokgołma sprowadzą z Germanji. Ja to przez urzędy, ministerstwa. Trzysta ciełkowych mnie to kosztowało, bo to transport i urzędy, urzędnicy. Trzeba było płacić.

— Gebetbuch?? — wpatrywał się modlitewnik. Tyle lat książki niemieckiej do nabożeństwa nie widział. „Brot der Engel"... książka do nabożeństwa...

— Bo nagrzeszyli my oboje, jak zwierzęta — wyszemrała cichuteńko.

— Boś chciała.

— Bom chciała!! Bom chciała, choćby za to potem na samo dno piekieł! Ale Przeczysta zlitowała się nad nami i teraz my już zaczniemy żyć po bożemu. Tylko odmodlić my musimy ten gnój z serc.

Zaczął się wpatrywać w dar narzeczeński. I naraz uprzytomnił mu się pewien drobiazg-wspomnienie: przecież to tę samą książeczkę, ten „Brot der Engel" sprawił raz jego ojciec dla Grossmutter na urodziny. Tak samo między okładkami złocił się jaskrawo grzbiet kartek. Ten sam Gebetbuch. Sprawił ojciec dla Grossmutter, by się nareszcie z niemieckiej książki do nabożeństwa modliła. I pomyśleć tylko, jaka dziwaczka była ta Grossmutter: podarunek przyjęła, ale ani rusz z „Brot der Engel" modlić się nie chciała. Nie, tylko się modlić będzie ze swojej odwiecznej, w tym obcym języku drukowanej. Zmartwiło to ojca:

— Niech przypadkowo jaki policjant wyśledzi, że moja matka z taką książką chodzi do kościoła...

— Grossmutter sprowadzi nieszczęście na nasz dom — biadowała matka.

Przypomina się to teraz Hansowi, jakby wczoraj to się działo, a przecie wówczas miał może sześć lat.

IV.

Naprawdę mówiąc, to to zapalenie płuc spadło na Hansa niewiadomo skąd. Tak samo widocznie do zapalenia płuc jest skłonny, jak nieboszczyk jego ojciec. Może i ta rana dawna pod łopatką też swoje robi. Niema się zresztą nad czem głowić: przyszło i przejdzie.

Ale nie przechodziło. Z dnia na dzień w całem ciele żar coraz większy i od czasu do czasu nieprzytomność. Może zresztą od tego babiego płaczu a zawodzenia. I Wiera i jej matka ryczą bez przerwy jak nad umarłym. — „Na zaliczkę" — jak o tem mówił Akakij Fomicz.

W tej to chorobie, w tym ukropie w żyłach, w tych onieprzytomnieniach stało się z Hansem owo wszystko dalsze:

Tuż przy jego łóżku na półkach leżał obfity stos starych gazet. Pietuchin swojego czasu przywiózł je z miasta na zapas do zawijania towaru klientom. Hans Galla po dwuletnim pobycie w Czelabińsku nauczył się na tyle czytać po rosyjsku, że teraz w nudzie chorobnej sięgał od czasu do czasu po te gazety i sylabizował je sobie. Czytać długo nie mógł, bo i to go męczyło. Po kilku minutach odrzucał więc lekturę. Ale rozgorączkowana nuda, zwłaszcza podczas bezsennych nocy znowu mu podsuwała te gazeciska.

Tak oto pewnego razu napotkał ociem wydrukowaną wiadomość, że w jakimś Bobrujsku formują się oddziały wojska polskiego pod dowództwem generała Dowbór-Muśnickiego i szczegóły dalsze, które go, jako żołnierza, zainteresowały fachowo. Ale nawet to krótkie czytanie znużyło osłabionego — odrzucił gazetę:

— Formują się, to niech formują.

Nocą przyszedł nowy napad gorączki i maligna. Widział siebie jadącego w szeregach konno ulicami Berlina w galowym swoim mundurze, z białemi rabatami. Ktoś go pyta:

— Dokąd?

— Do Bobrujska, do polskich formacyj.

Tu się obudził, równocześnie gorączka zaczęła widocznie spadać, bo na tyle oprzytomniał, że się nawet uśmiał nad bezmyślnością swego snu.

Ale równocześnie żołnierska myśl zaczęła pracować:

— Co to znowu za wojsko jakieś? Ile oni mogą mieć artylerji? Zapewne i konnicę formują. I gdzie ten jakiś Bobrujsk? W Austrji, czy gdzie?

Nadszedł odwiedzić go Akakij Fomicz. Zapytał go Hans o Bobrujsk.

— Daleko stąd od nas — poinformował go kupiec: — i nie dojdziesz tam, choćbyś chciał.

— W Austrji?

— W jakiej znowu Awstrji... W Rassiei, jak Pan Bóg przykazał. A tobie co znów do Bobrujska onego?

Powtórzył mu Hans wiadomość, wyczytaną w gazecie. Pietuchin był tego samego zdania, co i Hans:

— Formują się, to i Bóg z nimi. Bolszewiki się w Czelabińsku formują, to czort, ważniejsze.

Gdy się rozgorączkowanego mózgu uczepi najbłahsza nawet myśl, jakże trudno się od niej odczepić. Tak było z Hansem i wiadomością o tych jakichś polskich formacjach. Zapewne dlatego, że wiadomość tak odmienna od wszystkich innych, codziennych tu wiadomości.

Pod wieczór z chorym było tak źle, że Wiera nawet już nie płakała. Trupio blada wyszukała między rupieciami swój zaręczynowy dla Hansa podarunek, ów „Brot der Engel" — i podała go umierającemu:

— Ty się teraz módl.

— To już ze mną tak?

Nie miała już sił odpowiedzieć, tylko runęła na kolana u łoża chorego.

Tak ta książeczka do nabożeństwa została w ręku Hansa na całą noc. Czuł ją w palcach bez przerwy, ale logiką maligny wydawało mu się, że to nie jest ten podarowany mu przez Wierę Gebetbuch, lecz — skąd takie przeinaczenie? — że trzyma w ręku owa zwietrzałą książczynę do nabożeństwa swojej Grossmutter, ten obcym, niezrozumiałym dlań językiem napisany modlitewnik, którego za nic nie chciała zamienić na nowy, złocony na brzegach „Brot der Engel".

Z jakich zakamarków, z jakich ciemnych skrytek, z jakich zapylonych, nieznanych zakątków pamięci wynurzyło się to Hansowi, nie umiałby wyjaśnić, ale pod rozżarzoną swą czaszką widzi teraz jaknajdokładniej tę babczyną książkę do nabożeństwa:

Oprawna w skórę zrudziałą już i postrzępioną od tyloletniego użytku, książeczka zamykała się na ażurową klamerkę, przedstawiającą aniołka ze skrzydełkami. Klamerka z ubogiej blachy cynkowej. Na samym czubku głowy aniołek miał przewierconą okrągłą dziurkę, którą się zapinało na ćwieczek stalowy. Ilekroć Grossmutter po odprawionych modłach zamykała na klamrę modlitewnik, Hans zamykał oczy, by nie być świadkiem, jak od nacisku ćwieczkiem aniołka teraz musi boleć ta okrągła rana w głowie. Teraz w gorączce Hans czuje w swojej głowie tuż pod czaszką taką samą bolejącą, okrągłą ranę. Ból od niej rozchodzi się na całą głowę. Czaszka chyba pęknie.

A wir rozżarzonych do białości myśli nie może się oderwać od tej babczynej książki do nabożeństwa.

Książczyna pożółkła od starości, z pooślinianemi kątami kartek. Zaśniedziała. Co chwila któraś ze stronnic wylatuje i co Grossmutter jedną przyklei, to już druga odpada. Z drżących rąk staruszki sypią się karty na pokój, sypią się zrudziałe, w kurzu pobabrane karty, sypią się — zaraz: sypią się jak? — aha! — Hans już wie: sypią się, jak zrudziałe jesienią liście z tej jego akacji na Rossbark, w Beuthen. Pogubiła Grossmutter wiele z tych kart, ale jej wszystko jedno: i tak już napamięć umie każdą modlitwę i tylko w czasie nabożeństwa kurczowo do piersi przyciska ten zmurszały zbiór luźnych kartek, pod strażą cynkowego aniołka pozostający.

Nigdy — na toby Hans mógł przysiąc — nigdy przedtem w dotychczasowem swem życiu wspomnienie o tym babczynym Gebetbuch nie nachodziło go. Dopiero teraz, w tej strasznej godzinie życia.

Wypełza z podziemi wspomnień i to jeszcze:

Było to w Beuthen. Miał wtedy pięć lat. Przez ciekawość dorywał się liter drukowanych i zaczynał składać z nich słowa. Dorwał się też do babczynej książki do nabożeństwa, jął sylabizować, ale ani rusz ani jednego słowa nie mógł zrozumieć.

— Bo to po polsku — objaśniła go Grossmutter.

— A dlaczego? — chciał się dziecinnem: „dlaczego" dowiedzieć, co to znaczy: „ po polsku".

— Bo myśmy byli Polacy.

— I ja też byłem?

— I ty też byłeś Polak w swoich ojcach-dziadach.

— No to ja teraz na Rossbark — wybiegł i ani już myślał o tem, co Grossmutter powiedziała.

Ani wówczas, ani nigdy potem.

Dopiero w ten dręczący go dziś sen-żar przybłąkało się Hansowi, jak z nieznanych światów owa na szczęt zapomniana chwila z Beuthen.

Z rozwianych na powietrzu kartek babczynego modlitewnika wionęło na chorego inne jeszcze wspomnienie:

Mieszkali już w Bernburg, ojciec jego zachorował na ciężkie zapalenie płuc, dokładnie jak teraz on, Hans. Niebezpieczeństwo groziło takie, że Grossmutter przyjechała z Beuthen pożegnać synaczka, zaopiekować się wnukiem. W pewnej chwili Martin Galla przywołał oczami Hansa, kazał mu się nad sobą nachylić — i obezsilniałym głosem kilkakrotnie powtórzył to słowo:

— Ojce.

Nie po niemiecku, lecz w tej niezrozumiałej dla chłopaka mowie: „ojce".

A potem, odpocząwszy sobie: dodał:

— Idem do nich.

Znowu to dwa — trzy razy powtórzył.

Dźwięk za dźwiękiem zapamiętał sobie syn słowa ojcowskie, poczem zapytał Grossmutter, co to znaczy. Przetłumaczyła mu swoją łamaną niemczyzną.

Gdy ojciec wyzdrowiał, zaparł się, jakoby coś podobnego powiedział. A może w gorączce mówił i nie wiedział, że mówi. Teraz oto, w tym za światami Czelabińsku — jedno z drugiem, to co Grossmutter o Polakach Gałach mówiła i te w agonji słowa ojca splatają się Hansowi w jedno, splatają się uciskliwy węzeł, który go ugniata w mózg. — „Idem do ojców". To znaczy, że i on, Hans, skoro teraz umiera, to niewątpliwie do nich idzie tak samo... Węzeł coraz bardziej w mózgu doskwiera: gorączka.

Wieczorem dla wszystkich już jasnem się stało, że narzeczony Wiery do rana nie dotrzyma. Zebrali się licznie w jego izdebce i zapalili gromnice. A on przez całą noc nic, tylko bezustanku krzyczał i rzucał się na łóżku, że go siłą trzymać musieli.

— Do ojców! — krzyczał — do nich idem!

A ojce znów mu odpowiadali, że nie ma potrzeby do nich iść, bo oni tu są przecie koło niego. I słusznie: cała izba przecie wypełniona nimi. Jest Martin Galla, jest dziadek, którego fotografja stała na komodzie Grossmutter i cała moc innych jeszcze, o nieznanych twarzach i postaciach. Jeden przy drugim, jeden przy drugim: ojciec. Tak szczelnie wypełniali sobą pokój, że tchu nie można było chwycić od tej ciżby. Co miał sił, chwytał Hans powietrze otwartemi ustami, by się nie udusić.

I potem to najważniejsze:

Wszyscy oni niewiadomo kiedy przywdzieli mundury wojskowe, na plecach karabinki kawaleryjskie:

— Auf Wiedersehen Hans!

— Wy dokąd?

— Do Bobrujska, bo my Polaki w ojcach-dziadach.

I zniknęli.

Wtedy to na cały głos zawołał za nimi Hans, ale zupełnie już przytomnie:

— To i ja z wami, ja przedewszystkiem, bom ja przecie z Garde-Ulanenregiment nr. Eins!!

Zerwał się z poduszek, spojrzał po zebranych przy nim osobach. Cały był chłodny: gorączka spadła docna.

V.

Zdrowiał zwolna, aż dokładnie wyzdrowiał, ale opętanie nie przeszło.

Długo rozmyślał nad tem, jakby Pietuchinowi o „swojem" powiedzieć, wreszcie powiedział wprost:

— Ja idę do Bobrujska.

Akakij Fomicz nie odrazu zrozumiał.

— Do Bobrujska, do polskiego wojska.

— Ty, Gans, z rozumu zeszedł, ali co?

Przyszły zięć, jak psychopata, wciąż w kółko to swoje. Raz po raz powtarza. Wściekłość porwała przyszłego teścia:

— Ja cię spowrotem do wojennopleunych oddam, ty wieprzu!

— To stamtąd ucieknę i do Bobrujska.

— Ja ci wszystkie gnaty połamię, nim się stąd ruszysz.

— To pozbieram kości w kupę — i do Bobrujska.

Obezsilniło Pietuchina, usadziło go na wiązkach siana w kącie stajennym. W stajni do tej rozmowy doszło. Zaczyna Akakij Fomicz wypytywać, wysłuchał, zaczyna warjatowi do rozumu przemawiać. Jakby do końskiego żłobu gadał — taki sam skutek. Sklął więc tylko serdecznie zięcia i z proga mu jeszcze rzucił:

— Krokiem się z Czelabińska nie ruszysz, swołocz.

— Zobaczymy.

Po tygodniu znów się wszczęła rozmowa:

— Wywietrzał ci Bobrujsk?

— Nie.

— Nie? — zaniepokoił się Pietuchin, miękko już doń przemówił: — Słuchaj Gans, tobie może o to idzie, że ja przez tych niechrystów bolszewików pieniężnie na psy zeszedł i przydanego za Wierą nie będziesz już miał?

Wzruszył ramionami Hans — nic więcej.

— Słuchaj ja tobie jednemu powiem, tobie jednemu się przyznam: Ja i srebrne dobrze pod ziemią mam zakopane i głowę na karku, pod ziemię nie zakopaną ja mam: z komunistycznem przeobrażeniem też można dielca krzesać nie najgorsze.

— Choćbyście nie nic mieli, to i tak będziecie bogatsi ode mnie. Ja muszę do generała Dowbór-Muśnickiego, do Bobrujska.

— Uczepił się ty tego gienerała Bobrujskiego, jak gnój krowiego ogona. Zgrzebłem nie zeszczesz.

Znowu się pokłócili, znowu stary dech ze zmęczenia stracił:

— Wiery i jej krzywdy niezasłużonej tobie nie żal?

— To jedno.

Próbował Pietuchin od tej strony. Nic nie wskórał.

— Z jakiego biesa w tobie to opętanie, to okajanie?

— Dałem im żołnierskie słowo honoru, że ja też z nimi do Bobrujska.

— Komu?

— Ojcom. Oni wtedy tu u mnie byli, gdym ja umierał.

Przeżegnał się trzykrotnie kupiec, bo i obłąkaniem przecie też się zarazić można. A Hans podszedł teraz doń i skupiony, zebrany duchowo w sobie:

— Dałem im żołnierskie moje Ehrenwort. I ja to wiem: ja tylko dlatego śmierci uszedłem, że ja im dałem to żołnierskie słowo honoru. Gdybym nie dotrzymał, to śmierćby mnie za karę naszła.

Koniec końców doszło do tego, że obaj już zgodnie postanowili, że tylko Wiera o niczem ma nie wiedzieć, Hans ujdzie bez pożegnania. Wyrobił stary papiery podrobione w urzędzie sowieckim, na własny koszt sprawił mu bilet kolejowy do Moskwy. Zaopatrzył go w ciepłą przyodziewę, bo zima brała.

Nastał umówiony dzień. Cichaczem przed kobietami pożegnali się w podmiejskim lesie. W tym samym, gdzie Hans zaręczył się z Wierą. Pożegnali się. Pietuchin wyjął z kieszeni worek parciany, odliczył 25 rubli carskich:

— Nim tam w drodze gdzie szczeźniesz, czego ci od duszy życzę — to żebyś miał z czego żyć. Masz zresztą pięćdziesiąt.

Rozeszli się. Naraz Hans usłyszał za sobą:

— Postój jeszcze.

Podszedł do Pietuchina. Ten wyjął z worka jeszcze dziesięć rubli:

— Masz Judaszu i to: udław się mojem nieszczęściem.

Judasz wziął i te dziesięć rubli — nie można tego zataić — i zarówno Pietuchina, jak i Czelabińska nigdy mu już nie widzieć.

Dalej historja jest już krótka, choć droga była długa:

Nie do samej Moskwy ex-gwardzista potsdamski dojechał, bo im bliżej stolicy, tem coraz bardziej podejrzliwem okiem zaczęto respektować jego legitymacje czelabińskie. Na furmanki nie starczyłoby pieniędzy, więc z wszytą w kożuch mapą puścił się piechotą ku Bobrujskowi.

Większych osiedli unikał, w obawie przed władzami sowieckiemi. Najbezpieczniej było mu lasami. Ta rozpaczliwa, paniczna pustka borów! Straszna dniem, a pełna wilczego wycia w nocy. Niejeden raz przydarzyło mu się nocować na drzewach, by go na ziemi we śnie wilki nie pożarły. Rano budził się skostniały z zimna.

Kraj objęła dzika rewolucja. Na horyzontach widać było bez przerwy łuny palonych dworów. Te łuny dawały brodiadze orjentację, w jakim kierunku trzeba iść, by natrafić na ludzi. Sześć tygodni tak brnął. Do ostatniej kopiejki wysupłał się na chleb, na skórki słoniny, czasem na kubek wódki. Nie miał już sił.

Takiego go zagarnęła wataha bolszewicka.

Nie miał innego wyjścia, przystał do nich, by nie zemrzeć z głodu. Dali mu karabin, no i skończyło się marzenie o Bobrujsku. Nie dobrnął. Dał ojcom żołnierskie słowo — i nie stawi się w polskich formacjach. Tak się skończyło.

*

Wszystko jedno, jak to się stało, dość, że pewnego razu, na równinach między Dnieprem a Berezyną, oddział czerwono-gwardyjski, w którym służył, wpadł w potyczkę z jakąś umundurowaną drużyną. Kazali mu do nich strzelać — strzelał. Nawet sobie nie zadał trudu dowiedzieć się, z kim walczą, on i pozostali bolszewicy — czy mu to nie wszystko jedno, gdy wszystko już przepadło.

Walka trwała krótko. Po drugim swoim strzale Hans uczuł, że jest ranny w lewe ramię. Rzucił więc karabin i ułożył się wygodnie na śniegu:

— Spokojnie chociaż zdechnę.

Ucichło wszystko. Z watahy nikogo nie zostało, umknęli. W pewnej chwili uczuł na oczach smugę światła z lampki elektrycznej. Był to już późny wieczór. Światło elektryczne, a potem ktoś się odezwał:

— Został jeden jeszcze; drania trzeba też do lazaretu.

Wszystko jedno było Hansowi, czy go wezmą, czy zostawią tu.

W szpitalu następnego dnia dowiedział się, że jest w obrębie Wschodniego Korpusu polskich formacyj. W lazarecie polowym trzeciej dywizji. Kazał to sobie powtórzyć. I jeszcze raz — i jeszcze raz. Szał szczęścia porwał go pod słońce. Nic sobie z bólu w ramieniu nie robiąc, błyskawicznie ubrał się, obuł się — i tylko dowiedziawszy się, gdzie jest komenda placu, jak obłąkany tam pobiegł. Nad drzwiami komendy, powiewał proporzec biało-czerwony. Zatkało dech ułanowi:

— Białe i czerwone, białe i czerwone: jak mojego pułku rabaty białe przy czerwonym kołnierzu. Biało i czerwone, o Gott!

Dostawiono go przed dyżurującego porucznika. Ból w ramieniu obezsilniał Hansa, ale wyprostował się przepisowo i co miał w sobie sił, walnął obcasem o obcas:

— Hans Galla, Garde-Ulanenregiment nr. Eins, meldet sich gehorsamst als Kriegsfreiwilliger.

List otwarty

do p. Tadeusza Święcickiego, redaktora „Pionu“

Panie Redaktorze!

W jednym z ostatnich numerów „Pionu“ ukazał się artykuł Pańskiego pióra, występujący ostro przeciwko używaniu w polemikach literackich metody insynuowania przeciwnikom przy każdej okazji niskich pobudek materjalnych. Wystąpienie to, które przeczytałem z radością, widząc w niem świadomy krok ku odbagnieniu panujących w publicystyce stosunków, skłania mnie właśnie do publicznego przedstawienia Panu sprawy pewnych pociągnięć polemicznych, stosowanych — przypuszczam bez wiedzy Pana — na łamach redagowanego przez Pana „Pionu“. Idzie mianowicie o metody polemiczne stałego współpracownika Pańskiej redakcji, p. J. E. Skiwskiego, którego to wziął Pan, Panie Redaktorze, w obronę w swoim artykule.

JAK SIĘ ZACZĘŁO?

Sprawa jest taka:

W redagowanym przez mnie dodatku literackim dziennika ABC ukazał się dn. 13.VIII.1933 r. wyjątek z powieści L. F. Céline'a „Podróż do kresu nocy“. Przekład polski tej powieści był podówczas dopiero w druku. Nie znałem całości powieści, znałem natomiast entuzjastyczne recenzje francuskie. Z przysłanych mi przez wydawcę kilku fragmentów przekładu wybrałem wyjątek, który zamieściłem w numerze pisma p. t. „U Forda“.

W kilka dopiero miesięcy potem, gdy już prasa polska rozbrzmiewała bałwochwalczemi recenzjami, przeczytałem całość powieści i jako jeden z pierwszych przeciwstawiłem się ogólnemu prądowi w artykule p. t. „Podróż bez hamulców“ (ABC z dn. 23.XII. 1933 r.). W artykule tym uważałem za swój obowiązek wyjaśnić czytelnikom sprawę uprzednio drukowanego wyjątku z powieści, to też zacząłem od słów:

„Jest coś groźnie złowrogiego w braku odporu, jakiego doświadcza na swej drodze powieść L. F. Celine'a „Podróż do kresu nocy”, świeżo przetłumaczona na język polski. Przyszła do nas z Francji poprzedzona niebywałym rozgłosem. Krytyka francuska, od lewicowca Valery'ego do rojalisty Daudeta powitała ją entuzjastycznie jako nowe objawienie literackie. Sugestja zagranicznego patentu na genjalność zrobiła oczywiście i w Polsce swoje. B i j ę s i ę s a m w p i e r s i, b o n i e j e s t e m b e z w i n y. Nie przeczytawszy francuskiego oryginału i przed wyjściem z druku polskiego wydania, zamieściłem kilka miesięcy temu w „ABC literacko - artystycznem” wyjątek (nieszkodliwy i obojętny zresztą) z mającej się ukazać książki. Na rachunek paryskich zachwytów nacjonalisty Daudeta nad całością”.

Trudno chyba pójść dalej w samooskarżeniu i ekspiacji, choć przecież druk wyjątku powieści w piśmie, dla zorjentowania czytelników w jej stylu i rodzaju, nie oznacza wcale solidaryzowania się z nią. Tu jednak nawet nie skorzystałem z tego argumentu. Uważałem sprawę za zbyt poważną, nie chciałem zostawiać żadnych wątpliwości ani korzystać z okoliczności łagodzących.

DOBRY HUMOR

W miesiąc później (27.I.1934) ukazała się w „Pionie“ recenzja p. J. E. Skiwskiego p. t. „Kupa flaków — w środku marzenie“, omawiająca „Podróż do kresu nocy“ również w sensie negatywnym. P. Skiwski znał już mój artykuł, co łacno można wywnioskować z treści. Mimo to uznał za dopuszczalne zaopatrzyć swój artykuł w taki dopisek:

„Trudno mi tu powstrzymać się poprostu dla d o b r e g o h u m o r u od zacytowania zawsze tak uroczo niekonsekwentnego „ABC”, które najpierw umieściło szumną reklamę książki Celine'a z przedrukiem znacznego wyjnika (tak!), a następnie, przybrane w znoszone szatki liturgji endeckiej „zgromiło” i „napiętnowało” reklamowaną książkę. Czyż można przejąć się głębiej nakazem Ewangelji: „niechaj prawica nie wie, co czyni lewica”? I jeszcze mówią, że endecja nie jest katolicka!”.

Mam wrażenie, że zestawienie tych dwóch cytat mówi za siebie. Jakże charakterystyczny jest dla metod polemicznych i umysłowości p. Skiwskiego ów „dobry humor“, w jaki go wprawiło moje szczere i otwarte przyznanie się do winy! Jakże charakterystyczne jest p r z e m i l c z e n i e mego przyznania się i oparty na niem f a ł s z, że „nie wie prawica, co robi lewica“, gdy właśnie prawica z lewicą pospólnie gruchnęły publicznie o pierś winnego! I jak charakterystyczny wreszcie jest d r u g i f a ł s z, polegający na insynuowaniu, iż „ABC“ wraz z wyjątkiem powieści Celine'a umieściło „szumną reklamę“ tej książki, podczas gdy w rzeczywistości ograniczyliśmy się do rzeczowej wzmianki, że zamieszczamy poniżej fragment słynnej powieści, która niebawem ukaże się w przekładzie W. Rogowicza i nakładzie J. Przeworskiego. To wszystko. Nie „świetnej powieści“, nie „doskonałej“ — ale właśnie „słynnej“, co zresztą jest ściśle zgodne ze stanem faktycznym i nie zawiera żadnej oceny.

Zapewne — trzeba było odrazu przygwoździć fałsze p. Skiwskiego. Ale, niestety, fałszów tego typu jest codzień w prasie tyle, że nie starczyłoby miejsca na prostowanie wszystkich. Więc też p. Skiwski, ośmielony bezkarnością, wkrótce pokazał, że umie korzystać z puszczenia mu brzydkiej wolty płazem.

„GESZEFT“

Oto mianowicie w n-rze 7-ym „Pionu“ (10. II. 1934), pojawił się artykuł p. Skiwskiego p. t. „Ideologja na wynos“, a w nim zbudowanie na poprzednich fałszach n o w e j i n s y n u a c j i:

„Czy robienie najpierw reklamy książce Celine'a, a następne jej majestatyczne i wielokrotne „zgromienie” przez starsze i młodsze pokolenie wygów endeckich — to zmaganie się Anioła z Jakóbem (Przeworskim)? Czy może poprostu bardzo pospolity i bardzo ordynarny geszeft w stylu zupełnie Nalewkowskim? — jakież to warunki „zmuszają” do takich tranzakcyj?"

Za tę insynuację trzeba było co dzisiaj widzę, odrazu potraktować p. Skiwskiego, jak na to zasługiwał. Ale jeszcze łudziłem się, jeszcze nie chciałem przypuszczać świadomej złej woli przeciwnika. Może słyszał o tem, że są takie pisma, które za drukowanie wyjątków powieści biorą honorarja od wydawców i na tem oparł swoje podejrzenia w stosunku do „ABC“, choć nasze pismo n i g d y a n i w t y m, a n i w i n n y m w y p a d k u t a k i c h t r a n z a k c y j n i e r o b i ł o, przeciwnie, niejednokrotnie samo płaciło honorarja za wyjątki powieściowe wydawcom. Więc odpisałem tylko kpiąco (ABC z dn. 18.II. 1934, artykuł p. t. „Obyczaje polemiczne):

„...Skiwski... jest obecnie zaabsorbowany tropieniem, wietrzeniem i węszeniem... interesują go żywo świetne geszefty, jakie wie spewnością, że robimy w „ABC literacko - artystycznem” na druku wyjątków z powieści (byliżby tacy naiwni, żeby nic za to od wydawcy nie brać, skoro inni biorą?)”.

Sens powyższych słów jest oczywisty dla każdego, jako tako inteligentnego człowieka, a za takiego uważało się dotąd p. Skiwskiego. Uprzejmość polemiczna wobec p. Skiwskiego została posunięta tak daleko, że zamiast napiętnować go z miejsca, jako insynuatora, chciało się rozumieć, iż mógł paść ofiarą swej chorobliwej podejrzliwości, poddało się mu niemal wyjście z przykrej sytuacji, w jakiej się znalazł przez postawienie gołosłownego, a krzywdzącego zarzutu. No i p. Skiwski zrewanżował się za to dalszem przekręcaniem moich słów, tak rzecz refując czytelnikom „Pionu“ (nr. 9 z dn. 3.III. 1934, artykuł p. t. „Na Berdyczów“):

„Zarzuciłem dziennikowi „ABC” przedruk słynnego posłowia Celine'a w „Podróży do kresu nocy”, powieści, którą następnie w 3-ech pompatycznych artykułach tenże dziennik zgromił, wyklął, i ostrzegł przed nią swych czytelników jako przed zatrutem źródłem zepsucia, gangreną moralną i t. d. Za przedruk posłowia (24.VIII.1933) wydawca zapłacił pismu a p. Piasecki redaktor „literacko-artystycznego ABC” nietylko stwierdza to (ABC Nr. 18.II. b. r.), ale pisze w dodatku: „byliżby tacy naiwni, żeby za to od wydawcy nie brać, skoro inni biorą?”.

W y k p i e n i e przemnie geszefciarskich podejrzeń, nazywa p. Skiwski s t w i e r d z e n i e m ba, rozumowanie, które mu polemicznie podsunąłem jako j e g o rozumowanie prowadzące na manowce — przedstawia jako m o j e rozumowanie! Dalej już chyba w nierzetelności posunąć się nie można. „Wydawca zapłacił, a p. Piasecki stwierdza“ — dwa nowe fałsze, bo ani żaden wydawca nie zapłacił, ani ja to stwierdzałem, zaś p. Skiwski wiedział o tem doskonale, bo przeczytał moją odpowiedź.

SKĄD SIĘ DOWIEDZIAŁ

Ale z uważnego przestudjowania słów p. Skiwskiego wynika jeszcze coś innego, niemniej charakterystycznego dla poziomu tego pana. Oto mianowicie p. Skiwski, występujący w roli demaskatora „ABC“ („zarzuciłem dziennikowi „ABC“...), dowiedział się o tem, co ma zarzucać z mojego pierwszego artykułu, w którym sam się przyznałem do winy nieoględnego przedruku wyjątku z powieści Celine'a. Bo on tego wyjątku nawet przedtem w „ABC“ nie zauważył. Nie wie, kiedy był wydrukowany i podaje fałszywą datę (zamiast 13. VIII. 1933 — 24. VIII. 1933).

Skąd ta druga data się wzięła? Oto p. Skiwski teraz dopiero, po całej historji jaką wszczął, zaczął wertować komplety „ABC“, i w numerze z dnia 24. VIII. 1939 znalazł zupełnie co innego, niż to, o co dotąd wojował. Dlatego też „wyjątek z powieści Celine'a“ zamienia się nagle w „słynne posłowie Celine'a“, a wydawca, który „ABC“ za druk tego „posłowia“ miał zapłacić, przestaje nazywać się Przeworskim i jest już tylko „wydawcą“. Cóż więc takiego się stało?

W numerze „ABC“ z dn. 24.VIII. 1933, który po mozolnych poszukiwaniach odkrył p. Skiwski powtórzyliśmy za paryską „Comoedią“ mętne i bzdurne w y j a ś n i e n i a Celine'a, które nazwaliśmy rodzajem „posłowia“ do powieści. Posłowie to nie wchodzi wcale w skład książki, wydanej przez Przeworskiego. Umieściliśmy je z o ś m i e s z a j ą c y m k o m e n t a r z e m „Comoedii“ („Czy rozumiecie co? Niebardzo dobrze, ale to nie ma znaczenia. W każdym razie z tego, co napisane, nie gubimy ani słowa“). Uczciwy polemista powinien więc był stwierdzić, że już 24.VIII. ABC zakpiło z Celine'a. P. Skiwski zaś nie dał się zbić z pantałyku, dla pewności zmienił kilka słówek w swych „zarzutach“ i z jeszcze większym tupetem insynuuje nam geszeft, chyba aż z francuskim wydawcą...

CLOU

A teraz c l o u wszystkiego: Ten sam p. Skiwski, który z mojego kajającego się artykułu wogóle dowiedział się, że „ABC“ drukowało kiedyś jakiś wyjątek z Celine'a, ten sam p. Skiwski, który drogą całego cyklu przemilczań, przekręcań i fałszów urósł w własnych oczach na demaskatora endeckich niekonsekwencyj i gromiciela endeckiego geszefciarstwa, ten sam p. Skiwski ma jeszcze tupet takie oto dawać nam moralne nauki po sfałszowaniu treści mojej odpowiedzi:

„Przyznaję się, że mimo wszystko nie oczekiwałem takiej odpowiedzi od ABC. Myślałem, że jednak pójdzie to innym trybem. Że jeżli już odpowiedzą, to zasłaniając się omyłką, niedopatrzeniem, a bodaj rzetelnie przyznając się do winy. Ale „ABC” poszło w myśl „świętej” i dobrze znanej zasady: nigdy się nie przyznawać do błędu. Okazało się, że w oczach przedstawiciela młodej endecji takie właśnie postępowanie jest nienaganne, że wolno brać pieniądze za reklamowanie książki, którą kwalifikuje się jako złą, szkodliwą, i godną potępienia. Taka jest ich etyka”.

Tu już mamy chyba do czynienia z objawem jakiegoś patologicznego zamroczenia umysłowego autora powyższych słów. Ten sam p. Skiwski, który przed dwoma miesiącami wpadł w „dobry humor“, gdy przeczytał moje przyznanie się do winy — teraz kroi kaznodzieję i radzi mi to, co już dawno zrobiłem. Ten sam p. Skiwski, który powinien wiedzieć z mojej odpowiedzi poprzedniej, że „ABC“ nie wzięło ani grosza za wydrukowanie wyjątku z powieści Celine'a i że traktowaliśmy rzecz poprostu jako interesującą literacko — ten sam p. Skiwski popełniając nadal insynuację geszeftu, prawi równocześnie o etyce!

POSTĘPOWANIE O OKREŚLONEJ NAZWIE

Ale bo też u p. Skiwskiego zaobserwować można ostatnio nietylko objawy zamroczenia umysłowego, ale zamroczenia moralnego.

W poprzednim moim artykule („Obyczaje polemiczne“, ABC z dn. 18.II.. 1934) zwróciłem uwagę na niedopuszczalność chwytów polemicznych p. Skiwskiego, polegających na rzucaniu odległych, a przeto nieuchwytnych i bezpiecznych aluzyj do życia prywatnego przeciwników. Na to p. Skiwski odpowiada dosłownie („Na Berdyczów“, Pion nr. 9):

„Pan Piasecki nie zawahał się napisać, że moje zarzuty są nieuchwytne i przeto bezpieczne. Nie, Aniele. Ja tylko w słowie drukowanem poprzestaję na aluzjach i napomknięniach, zrozumiałych dla wtajemniczonych, a nie demaskujących spraw osobistych przed czytelnikiem. Natomiast w życiu, w stosunkach osobistych, jestem zwolennikiem jaknajwiększej uchwytności. Jeśli chodzi o tematy poruszone w jednej z ostatnich dyskusyj, to właśnie tak się złożyło, że osoba zainteresowana (czyż mam mówic wyraźniej?) o t r z y m a ł a o d e m n i e a i d e-m e m o i r e, o b i e c u j ą c e z u p e ł n ą u c h w y t n o ś ć w r a z i e z b y t n i e o g l ę d n y c h p r z e c i w m n i e w y p a d ó w p o l e m i c z n y c h”.

Czytając to, przeciera się oczy ze zdumieniem. Mniejsza z tem, kto jest ta osoba, nazywana przez p. Skiwskiego „osobą zainteresowaną“, a której nazwiska nie wolno wymieniać w prasie sanacyjnej. I mniejsza z tem, co się wie o tej sprawie. Wystarczy oprzeć się na drukowanym tekście p. Skiwskiego. Oto istnieje osoba, której p. Skiwski wysłał list (aide - memoire), „obiecujący“ uchwytność aluzyj do życia prywatnego, czyli inaczej mówiąc grożący publicznem babraniem się w jej życiu prywatnem — w razie „zbyt nieoględnych“ przeciw p. Skiwskiemu wypadów polemicznych! Wyraźnie: p. Skiwski rezerwuje sobie to na wypadek „zbyt nieoględnych“ wypadów polemicznych, tem grozi i tem się zasłania.

Otóż mam wrażenie, że postępowanie takie ma nazwę zupełnie określoną. P. Skiwski nietylko, że uciekł się do tego postępowania, ale jeszcze w dodatku tak dalece nie widzi w tem nic złego, że się publicznie tem przechwala. Czyż można to skwalifikować inaczej, jak: zamroczenie moralne?

CHYBA NIEPOCZYTALNOŚĆ

Tyle co do strony faktycznej, w tym liście otwartym do redaktora „Pionu“.

Wybaczy Pan, Panie Redaktorze, że tak obszernie i szczegółowo przedstawiłem całą sprawę, narażając cierpliwość zarówno Pana, jak i czytelników. Było to jednak niezbędne. Przypuszczam, że ani Pan, ani nikt inny, nie śledził dokładnie przebiegu polemiki zestawionej powyżej, i tem tylko sobie tłumaczę, że pewne zdania artykułów p. Skiwskiego mogły się pojawić na łamach „Pionu“. Zaufanie do głośnego nazwiska literackiego, czemu i ja w stosunku do p. Skiwskiego ulegałem przez czas dłuższy, zrobiło swoje. W pewnym jednak momencie musiałem stwierdzić na zasadzie szczegółowej analizy, której wyniki streszcza list niniejszy, że w artykułach p. Skiwskiego trzeba się dopatrzeć chyba z n a m i o n n i e p o c z y t a l n o ś c i u m y s ł o w e j i m o r a l n e j. Sprawa jest ważna, nawet tragiczna, zwłaszcza wobec wybitnej pozycji, jaką zajmował dotąd p. Skiwski w polskiem życiu literackiem. Przykro mi, że musiałem rzecz poruszyć publicznie, ale niestety publicznie padały niepoczytalne zarzuty p. Skiwskiego. Za swój obowiązek jednak uważałem skierowanie tego listu do Pana, jako redaktora „Pionu“, którego p. Skiwski jest współpracownikiem.

Raczy Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy szacunku

Stanisław Piasecki

Miłosz Gembarzewski

Z cyklu
Spowiedź mazowiecka

I.

Już nie będę się spowiadał z przeszłości,
Gdy są moją chlubą nowe grzechy,
Zgarniające pod stopy włości,
Gdzie wyżyna zapiera oddechy.

Ja od Płońska, z gmachu karmelitów,
Strop kamienny, rżnięty w kryształy,
Świętszy niż grób trojański hoplitów.
Baldachimem niosę w kraj niemały.

Zęby w krzeseł kościelnych poręczy
Wyłamałem zuchwalstwem słowa,
Jednak złotem pokłosie mi brzęczy
I wysoko pysznieje ruń nowa.

Była sucha winorośl nad czołem
Rzeźby klękłej w ćmie pod kazalnicą,
Bo tak jednał się ze swym aniołem
Dawny dziedzic palony gromnicą.

A do mnie srebrne bazie nadeszły.
Wytryskując na kościelnem krześle.
Rozgrzeszenie w nich za cały wiek przeszły
Sam wezmę, nim Opatrzność cud ześle.

XI

Została w przeszłych dniach
Ojczyzna moja miła.
W tumany mgieł się wbiła,
W rozstajnych ścieżyn piach.

Na szali moich rąk,
Jest czarnej ziemi grudka,
Maleńka i cichutka,
Cudowny święty pąk.

Zasłania wszystko cudze.
Otwiera przestwór pól.
Zarodna ziemi sól
Czernieje w piachów strudze.

Pomnaża się napływem
Olbrzymich sił weselnie.
W mych oczach niepodzielnie
Panuje światłem żywem.

I karmi mnie, odziewa;
I miedzy świeżej pasmem
W zbóż rozbudzeniu jasnem
Prowadzi mnie — i śpiewa.
— Mocarstwo moje.

XIV

Z góry opada pył i brud;
Szara lawina drży nad głową;
Przez dachy deszcz śmieciowych wód
Mętnie się cedzi w kadź jałową —
Na rdzy nie wzrośnie nawet mech.
Ciemnościom wolno się przesączyć.
Zdziurawi, poroznosi grzech
Budowę, aby dom rozłączyć.
Z góry opada drobny śmiech.

Nie padł bezdennie dźwiękiem w cień,
Wezwany nad granicę szarą,
W potopie ożywiając marą,
Ptak, wpełzły na srebrzysty pień.

I dalej! za gałęzi splot,
Swem prawem górnem, przyrodzonem,
Bierze — najwyższy lot!
Wzrokiem i ciała skrzydlnym tonem.
Maleńki dach... niziutki płot...
Tężeją brudne krople w dole
W morderczę śruty, skrzące mole...
Z ich objęć błysł — najwyższy lot.

XXIII

Ja przez księstwa mazurskie piechotą
Wędrowałem, i skroś młode dzieje
Mej podróży miedzą ciernioplotą
Cała wieczność zasiewami wieje.

Szedłem pierwszem natchnieniem duszy
Za obyczaj i nad przewidzenie.
Żeleźniaki wydarłem z pod gruszy,
W złe krewieństwo żenąc jego kamienie.

Dzisiaj mówię szczerze i zwyczajnie,
Rzucam w świata ogień i morze
Silne słowa przysięgi, że hajnie,
Już nie tylko się modlę w pokorze.

I dziś, ja panujący i wolny
Rozpoczynam nowe pokolenie.
Jam jest: gospodarz silny, opolny,
Zadziwiający świata sumienie.

Maj — sierpień 1931 r.

Aniela Waldenbergowa

Karin Michaelis i... włamywacz

Jedną z najpopularniejszych postaci w Danji jest znana i w Polsce duńska pisarka Karin Michaelis. Mieszka ona na mikroskopijnej wysepce Thurö. Droga do jej rezydencji jest dość uciążliwa, z Kopenhagi jedzie się koleją pięć godzin. Wystarczy zażądać przy kasie w Kopenhadze biletu do Thurö, by kasjer odrazu stał się nader uprzejmy i pokolei wymienił stacje, na których trzeba się przesiadać. Wiadomo, kto jedzie do Thurö, odwiedza Karin Michaelis, a kasjer jest widocznie wielbicielem jej talentu.

Przez cały rok odwiedzają duńską autorkę przeróżni goście i poeci, aktorzy, dziennikarze, pseudo - literatki i zwykli śmiertelnicy. Karin Michaelis nie jest w stanie pomieścić wszystkich w swojej willi „Tovelore", uważa jednak za punkt honoru, żeby goście jej nie mieszkali w hotelu. Wybudowała więc w parku, okalającym jej willę, trzy małe, prześliczne stylowe domki. W jednym z nich gościł znany dziennikarz, M. Sukiennikow, który niejednokrotnie odwiedzał duńską literatkę.

— Przyznam się szczerze — zwierza się nam, że pierwsza noc, którą spędziłem w tym drewnianym domku, nie była zbyt przyjemna. Przerażała mnie cisza. Ciągle mu się zdawało, że ktoś zagląda przez szyby (przy oknach nie było rolet). Na skutek napięcia narwów, słuch mój był tak wyostrzony, że wręcz słyszałem poruszanie się owadów na trawnikach, a może to było tylko złudzenie słuchowe? Zasnąłem dopiero koło północy, kiedy ptaki rozpoczęły swój coraz głośniejszy koncert, zwiastujący koniec krótkiej nocy letniej. Gdy w czasie obiadu zwierzyłem się Karin Michaelis ze swojej nerwowości, roześmiała się i powiedziała z tajemniczą miną:

— Ta cisza i brak okiennic doprowadziły prawie do obłędu prawdziwego włamywacza...

— Jakiego włamywacza?

— Włamywacz był takim samym gościem, jak wszyscy inni zaproszeni, tylko powiem, że interesował mnie bardziej od innych, gdyż był dla mnie poniekąd zagadką psychologiczną. Zdawałoby się, że włamywacz powinien być przyzwyczajony do przeróżnych niewygód życiowych. Nie przypuszczam, żeby jego stałem miejscem zamieszkania była jakaś willa podmiejska, pierwszorzędny hotel. Chyba powinien być za pan brat z ciszą celi więziennej... Tymczasem cisza w moim domku doprowadziła nerwy mego włamywacza do niebywałego podniecenia...

— Dlaczegóż nazywa go pani „swoim włamywaczem"?... Czyżby to był jakiś krewny pani? Czy też jeden z nieszczęśliwców, nad którym ulitowało się, czułe na ludzką biedę, serce pani?...

— Eh, cała ta historja jest właściwie bardzo prosta — roześmiała się Karin Michaelis. — Zeszłego lata otrzymałam nagle list z jednego więzienia w Danji, w Horsens. Tego dnia poczta była wyjątkowo bogata, niektóre więc listy odłożyłam na biurko, ale przykuł mą uwagę list z więzienia. Na grubej, białej kopercie czernił się stempel: „Wiezienie w Horsens". Pewien więzień, nazwijmy go Nilsen, wyraził chęć napisania powieści. Humanitarny dyrektor więzienia nie miał nic przeciwko temu i więzień zabrał się do pracy. Powieść była do połowy gotowa, gdy Nilsen przysłał mi ją do oceny. Już nieraz obdarzano mnie zaufaniem, lecz tym razem byłam wprost dumna, że zaszczycił mnie nim prawdziwy włamywacz!... Zabrałam się do czytania jego powieści i ogarnęło mię zdumienie: talent! Prawdziwy talent! Dowiedziałam się od dyrektora więzienia, że Nilsen skazany jest za czterokrotne włamanie na cztery lat więzienia i że już odsiedział dwa i pół lat.

— Pojechałam natychmiast do Kopenhagi, wystarałam się o audjencję u króla, opowiedziałom mu o wielkim talencie Nilsena, i król łaskawie darował mu resztę kary. Zawiadomiłam o tem Nilsena, proponując mu, by narazie, zanim z pomocą moich przyjaciół zdołamy mu stworzyć jakieś możliwe warunki bytu, u mnie zamieszkał. Wielce się zdziwiłam, gdy wkrótce potem Nilsen zajechał do mnie wraz z sześcioma wielkiemi kuframi i skrzyniami.

— A cóż to takiego? — zapytałam. Odpowiedział z największym spokojem:

— Wszystko, co udało się policji dowieść, że pochodzi z kradzieży, odebrano mi, ale czego nie dowiedli, to do mnie należy.

— A dlaczegóż pan zabrał z sobą te rzeczy?

— Proszę pani, w więzieniu, gdzie je przechowywano, wiedziałem, że są pewne, bo tam są zamki pierwsza klasa, ale teraz obawiam się gdziekolwiek rzeczy moje zostawić!...

Trudno! Trzeba było ulokować Nilsena wraz z jego bagażami w jednym z domków. Nazajutrz zaprosił mnie do siebie, otworzył skrzynie i kufry i pokazał mi ich zawartość. Były tam rzeczy o mniejszej wartości, ale i cenniejsze, jak cygara, wieczne pióra, wino, sardynki i t. d.".

Karin Michaelis nacisnęła dzwonek. Zręczna, młoda dziewczyna, córka jednego z wieśniaków w Thurö stanęła na progu jadalni.

— Możesz sprzątnąć ze stołu. A potem przynieś nam, proszę, wino i cygara, wiesz, te Nilsenowskie.

— Niech się pan nie lęka—powiedziała do dziennikarza Karin Michaelis z uśmiechem — to są resztki zdobyczy Nielsena na legalnej drodze, a nie łup złodziejski.

Dziennikarz zapalił cygaro. Marka „Regal", chciałem powiedzieć marka „Nilsen", ach, co za aromat! Pierwszorzędny gatunek!... Ten Nilsen musi być niezłym znawcą cygar. I wino, które Karin Michaelis nalała do kieliszka, nie było złe! Może nie stuletni węgrzyn, ale bądźcobądź wino doskonale przechowane w piwnicach więziennych.

Trąciliśmy się z Karin Michaelis kieliszkiem i wypili za zdrowie poety - włamywacza.

— Niech pan sobie wyobrazi, że ten Nilsen — zwróciła się do dziennikarzy Karin - Michaelis — którego twarz bynajmniej nie przypominała ascetycznej twarzy natchionego poety, narzekał, że źle się czuje w domku w parku. Tak tam ciemno! Tak cicho! Tak samotnie! I on miał stale wrażenie, że do ogrodu lada chwila zakradną się dzikie zwierzęta, albo bandyci... Raz przepadł na cały dzień.

— Co się z panem działo? —zapytałam go — gdy się zjawił.

— Byłem w Swendborg...

— A cóż pan tam robił?

— Ubezpieczyłem swoje rzeczy od kradzieży — odpowiedział mi przyczem nie drgnął ani jeden muskuł w jego twarzy — te szerokie okna bez okiennic nie są zbyt bezpieczne; nie chronią przed włamaniem...

— Pozatem Nils poprosił mnie o pozwolenie pojechania na dwa dni do Kopenhagi. Ma tam coś do załatwienia. Powrócił z bardzo smutną miną... — Co się panu stało? — Dlaczego taka smutna mina? — zapytałam.

Miał pecha. Jakie trzy lata temu po udanem włamaniu, schował pięć tysięcy koron w murze. Dom stał na krańcu miasta, nietrudno więc było wyjąć cegłę i wsunąć banknoty, a potem cegłę włożyć na miejsce. Właśnie do tego domu, do tego muru podczas, gdy Nilsen siedział w więzieniu i tworzył swą powieść, dobudowano cztcropiętrową kamienicę. A pieniądze leżały zamurowane pomiędzy cegłami!

— Ci przeklęci spekulanci budowlani — urągał Nilsen bez przerwy przez trzy dni!...

Po powrocie do Kopenhągi dowiadywał się dziennikarz o Nilsena. Obydwie jego powieści ukazały się pod pseudonimem, zdobyły powodzenie i dobre krytyki. On sam sprzedaje antyki w małym, lecz wytwornym sklepie ze starożytnościami, który mu urządziła Karin Michaelis wraz z pomocą swoich kilku przyjaciół. Czy pan Nilsen sprzedaje tam rzeczy pochodzące z kradzieży, czy uczciwie nabyte, nie wiem i wątpię, czy ktokolwiek się o tem dowie.

Młody film czeski

w służbie kultury narodowej

Dwudziestokilkoletni blondyn, jasne spojrzenie Słowianina, wysoka i zgrabna postawa — oto krótkie określenie Svatopluka Ježek'a, współpracownika kilku czeskich pism filmowych, który zjechał do Warszawy, jako przedstawiciel awangardy filmowej bratniego narodu.

Przywozi ze sobą nietylko piękne filmy, — których pokaz dla miłośników kinematografji artystycznej odbędzie się w niedzielę o 12-tej w kinie „Atlantic", lecz także wiele ciekawych wiadomości o rozwoju X-tej Muzy w swym kraju.

Przysłuchajmy się zatem, co gość nasz opowiada zarówno o samej awangardzie, jak i o innych dziedzinach życia filmowego w Czechosłowacji.

— Młodzi filmowcy mego kraju nie upatrują awangardy w ryzykownych eksperymentach, dbających o niezwykłość formy z pominięciem głębszych wartości ideowych. Nam chodzi o wydobycie całego piękna z krajobrazu i życia ludu, z zabytków naszej architektury, słowem z tego co składa się na charakterystyczne cechy życia naszego narodu.

— Obca nam jest chęć tworzenia „sztuki dla sztuki", co często w dziedzinie awangardy filmowej jest równoznaczne z „eksperymentem dla eksperymentu".

— Powinniście zapamiętać specjalnie nazwisko Karola Plicki, on bowiem stanął na czele młodej kinematografji czeskiej, przedewszystkiem dzięki swemu wspaniałemu filmowi p. t. „Ziemia śpiewa", który uważam za największe bodaj arcydzieło filmowe mego kraju.

— Przez kilka lat przebywał Plicka na Słowaczyźnie, studjując obyczaj ludowy, chwytając na taśmę (sam jest swym operatorem) charakterystyczne sceny z życia chłopów słowackich, pieczołowicie łowiąc perły folkloru, niżąc je w jeden wspaniały naszyjnik, mieniący się wszystkiemi barwami cudownych kostjumów góralskich.

Przez świetny montaż wydobyto z martwej taśmy tętniący rytm życia wiejskiego, w którym najpełniej przejawia się dusza tego kraju. Chociaż film jest niemy, ilustrowany tylko muzyką, — której autor nazywa się Franciszek Szkvor, — wszystko w nim śpiewa, przedewszystkiem zaś śpiewa przepiękna natura słowacka.

— Ten film, specjalnie nadający się dla kulturalnych sfer publiczności, powinienby dostać się do Polski, bo wtedy przekonalibyście się także, jak bardzo bliskie są sobie nasze dwa narody pod względem obyczaju ludowego.

— Również słowackie jest tło innego filmu Plicki, p. t. „Przez góry i doliny" („Po horàch, po dolàch"). Pozatem, wspólnie ze specjalistą od montażu, Aleksandrem Hackenschmiedem, nakręcił Plicka dwa obrazy, opiewające piękno Pragi. „Na praskim zamku" — to symfonja ku czci zabytków architektury czeskiej; „Wiosna w Pradze" — to znów połączenie pierwiastka przyrody z pięknem miasta.

— Oprócz wymienionych wspomnę jeszcze o Janie Kuczera, autorze „Burleski" oraz o Ottokarze Vávra, który jedyny zbliża się do zagranicznych form awangardy. Nakręcił on reportaż p. t. „Żyjemy w Pradze" i film abstrakcyjny p. t. „Światło przenika ciemności".

— Awangarda filmowa nie posiada w Czechosłowacji swego stowarzyszenia. Jedynie od czasu do czasu urządza się pojedyncze imprezy, jak np pokazy filmów, należących już do historji. Ostatnio odbył się taki retrospektywny pokaz komedyj.

— Rynek czeski zalany jest naturalnie filmami rozrywkowemi. Produkcja ich w naszym kraju jest bardzo duża, odbija się to jednak ujemnie na jakości. W Pradze pracują nieustannie dwa wielkie atelier: „A - B" — Barrandov i Host, stojące na światowym poziomie pod względem urządzenia, o czem świadczy choćby niedawno tam nakręcony po francusku film Turżańskiego p. t. „Pożar nad Wolgą", z Albertem Préjean'em. Z aktorów popularny jest bardzo, — niemal jak „sam" Burian, — Hugo Haas, komik z Narodniego Divadla, ostatnio występujący w filmie: „Życie jest psem".

— Z produkcji zagranicznej oglądamy najwięcej filmów niemieckich, które są dla wielkiej części widzów zrozumałe językowo i mają dobrze zorganizowane przedstawicielstwa handlowe. Jednem jak drugiem biją one film francuski, który pomimo polityczno - propagandowych korzyści nie może jakoś zająć odpowiednio silnej pozycji. Filmów amerykańskich nie widzi się w Czechosłowacji prawie wcale, a to ze względu na ustawodawstwo kontyngentowe. Niemcy często nadużywają filmu dla propagandy swych haseł politycznych.

— Od czasu do czasu mamy też możność oglądania filmów polskich. Specjalnem powodzeniem cieszył się najbardziej z widzianych przezemnie polskich obrazów film p. t. „Pod Twoją Obronę". Zarówno pod względem treści, jak i wykonania stał on na bardzo wysokim poziomie, chlubnie świadczącym o kinematografji polskiej, której jestem gorącym przyjacielem. W pismach czeskich zamieściłem już około 15-tu artykułów, omawiających rozwój naszego filmu. Pogląd mój na stosunki polsko - czechosłowackie w tej dziedzinie wypowiedziałem przez radjo katowickie i krakowskie.

Wierzą mocno, że współpraca filmowa między naszemi krajami będzie coraz ściślejsza wraz z ogólnem zacieśnieniem węzłów kulturalnych, gospodarczych i politycznych.

Przeglądamy fotosy z filmu Plicki. Zdjęcia znakomite. Jedno zwłaszcza przykuwa moją uwagę. U dołu pasek ziemi z siedzącym chłopcem góralskim, obok którego bezlistne drzewko wystrzela ku niebu, pokrytemu tkaniną prześwietlonych słońcem obłoczków. Czyż to nie obraz młodych narodów słowiańskich, osłaniających drzewko zaledwie odzyskanej państwowości przed podmuchami wiatru, aby czemprędzej wrosnąć mogło w świetlane niebo potęgi?...

Andrzej Ruszkowski.

Stulecie „Pana Tadeusza"



Dwór w Czombrowie, przypuszczalnym Soplicowie z „Pana Tadeusza".

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

AUGUSTYN św.: Państwo Boże II z łaciny przetłumaczył i objaśnienia napisał ks. Wł. Kubicki. 8° str. 402. Poznań, 1934. J. Jachowski. Zł. 16.

BALZER O.: Pisma pośmiertne t. I. Studjum o Kadłubku. 8° str. XIV plus 260. Lwów, 1934. Gebethne i Wolff. Zł. 18.

BOUCHET R.: Niesamowity lot. Przełożyła M. Karpowiczowa. 8° str. 197. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 3.

CHMURKOWSKI ANTONI dr.: Reforma Najwyższego Trybunału Administracyjnego. 8° str. 99. Warszawa, 1934. Dom Książki Pol. Zł. 3.

CIESZYŃSKI N. L. ks.: Roczniki katolickie na rok Pański 1934. 8° str. XII, plus 508. Poznań, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 8.

DOBRANIECKI S. i ŚLIPIRSKI K.: Analiza figur liczbowych Lay'a i Rusieckiego z 6 rys. 8° str. 37. Warszawa, 1934. Nasza Księgarnia. Zł. 1.20.

DZIERZBICKI W.: Ludzie północy. Powieść. 8° str. 176. Warszawa, 1934. S. Cukrowski. Zł. 3.

FELLER BR. dr.: Kodeks kolejowy. Pragmatyka kolejowa obowiązująca od 1 lutego 1934 ze skorowidzem. Wyd. 4-te. 8° str. 62. Kraków, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

FERBER MARJA: Piekarstwo w Krakowie. 8° str. 80. Kraków, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.

GRODYŃSKI TADEUSZ: Dziwactwa podatkowe. 8° str. 22. Kraków, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.

GRZYBOWSKI KAZ.: Artykuł 18 Paktu Ligi Narodów. 8° str. 112. Lwów, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 7.

HAYTLER JAN dr.: U źródeł prawa karnego. 8° str. 40: Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 2.

HEILPERIN M. A.: Projekty rekonstrukcji gospodarczej. 8° str. 32. Kraków, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

KEPIŃSKA M.: Świadome macierzyństwo. 8° str. 173. Poznań, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 3.

KERN C.: Niemcy wczorajsze i dzisiejsze. 8° str. 53. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.50.

LEN R.: Młodość za kratą. 8° str. 188. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 4.

LISIEWICZ MIECZ.: Coronel. Poezje. 8° str. 28. Warszawa, 1934. F. Hösick. Zł. 2.

MARCZYŃSKI ANTONI: Jutro. 8° str. 374. Kraków, 1934. Geb. i Wolff. Zł. 5.

MELCER WANDA: Swastyka i dziecko. 8° str. 258. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 3.

MILLER EDM.: Fikcyjna postać. Powieść. 8° str. 294. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 3.

NORDMAN C. i MONTGON de A. MANUREWA. Przekład P. Mączewskiego. 8°. Str. 264. Warszawa, 1934. Dom Ks. Pol. Zł. 4.60.

PARKER JIM: Płyną polskie okręty. Z cyklu „Budujmy Państwo". 8°. Str. 61. Warszawa, 1934. Gebethner i Wolff. Zł. 1.

PORĘBSKI EUG. inż.: Wielcy twórcy nauki z 58 portretami. 8°. Str. VII, plus 299. Warszawa, 1934. Trzaska, Evert i Michalski. Zł. 15.

RÓMMEL J. gen.: Wspomnienia z bojów kawalerji z cyklu „Walki o niepodległość". 8°. Str. 83. W-wa. 1934. Geb. i Wolff. Zł. 1.10.

SŁONIMSKI A.: Heretyk na ambonie. 8°. Str. 346. Warszawa, 1934. J. Przeworski. Zł. 8.

STRZELECKA ANNA: O królowej Jadwidze. Studja i przyczynki. 8°. Str. 95. Lwów, 1933. Gubrynowicz i Syn. Zł. 3.

TÓTH TIHAMER: Chrystus w cierpieniu i w chwale. Przekład z madziarskiego. R. Olear. 8°. Str. 304. Kraków, 1934. Księg. św. Wojciecha. Zł. 6.50.

ZAWIEYSKI J.: Daleko do rana. Powieść. 8°. Str. 174. Warszawa, 1934. F. Hösick. Zł. 5.

Stulecie „Pana Tadeusza"



Z ilustracyj Andriollego do „Pana Tadeusza": Protazy i Gerwazy.